

# Zeszyty szkolne

Było tuż po dzwonku w ostatnich dniach pierwszego licealnego roku, kiedy wchodząc do klasy, zbyt głośno ostrzegłem koleżanki i kolegów bez specjalnego powodu: „*Uwaga! Ruska idzie*”. Kilka sekund później usłyszałem wrzask: „*Ja nie jestem żadna Ruska. Ja jestem Polka*”. Z reszty pamiętam jedynie, że moje wielokrotne przeprosiny nie pomagały. Wprost przeciwnie jeszcze bardziej ją rozjątrzały. Nasz wychowawca, Profesor Gaweł przykazał, że następnego dnia mam przyjść do szkoły z matką, po czym zarządził, że najlepiej będzie, jak więcej nie będę już niczego wyjaśniał, bo moja mama lepiej sobie poradzi bez mojej pomocy i odesłał mnie do klasy. Było już po posiedzeniu rady pedagogicznej i miałem nadzieję, że podczas wakacji o incydencie wszyscy zapomną, ale stało się inaczej. Na domiar złego po wakacjach Pani Profesorka Języka Rosyjskiego, pomyliła mnie z innym blondynem, Jurkiem K., który na początku Października złapał trzecią z rzędu, nie tylko w moim odczuciu, złośliwą pałę. Podczas bezsennej nocy przemyślałem treść zagajenia, rano poszedłem do pokoju nauczycielskiego i poprosiłem naszego wychowawcę o rozmowę na osobności. Zanim przestałem się pocić i krztusić, przerwał mi pytaniem, czy w moim odczuciu ma to związek z przedwakacyjnym incydentem... i niewinny Jurek przestał zbierać pały, za mój grzech.

Innym razem w czasie przerwy między lekcjami, zawsze cichy i ze wszystkimi żyjący w zgodzie, Jasiu Figiel, po latach prof. dr hab. Jan Figiel, jak zwykle w skupieniu coś tam czytał w swojej ławce. Nasze koleżanki, sympatie, platoniczne miłości i osobiste narzeczone rozprawiły o swoich sprawach, ustawione grupkami wzdłuż okien po drugiej stronie, bo w środku klasy było niebezpiecznie. Bitwa na kredę i gąbki do ścierania tablicy przybierała na intensywności. Z rogu z lewego skrzydła ostrzeliwał mnie Jurek Radoń, mój osobisty sufler, który siedział za moimi plecami, a z prawego robił to *Jędrus*, po latach prof. dr hab. Andrzej Szopa, który szybownictwo zdradził dla socjalistycznej ekonomii, ale po zmianie ustroju radził sobie jeszcze lepiej, nie tylko w Polsce, ale także w USA. Nie wiem, dlaczego znalazłem się w centrum tego krzyżowego ognia dwóch przyjaznych kolegów, ponieważ ja otworzyłem ogień w kierunku Andrzeja P., przydomek *Karierowicz*, siedzącego pomiędzy nimi. Tego dnia wyjątkowo drażnił mnie jego czerwony ZMS-owski krawat. Tak czy inaczej, zjednoczone siły wrogich mi aliantów miały przewagę liczebną, ale w przeciwieństwie do nich, ja znajdując się w okolicy tablicy, miałem lepszy dostęp do amunicji. Niestety raz za razem wszyscy trzej uchylali się i moje pociski trafiały w ścianę. Kiedy dzwonek zmusił nas do zawieszenia broni, mokre palmy na tylnej ścianie naszej klasy wyglądały okropnie, a kiedy wyschły wyglądały jeszcze gorzej. Nie było wątpliwości, że nazajutrz padnie pytanie, kto to zrobił? Aby uniknąć odpowiedzi, bo konsekwencje moich wybryków płaciłem z podniesioną przyłbicą, a mojej mamie zaoszczędzić kolejnej wycieczki do szkoły na rozmowę z naszą nową wychowawczynią, Profesor Głowacką, postanowiłem rozwój wypadków wyprzedzić i wieczorem ścianę odmalować. W piwnicy znalazłem resztki różnych farb, ale ponieważ po rozcieńczeniu żadnej nadal nie było wystarczająco dużo, zmieszałem je wszystkie razem. Malowanie poszło sprawnie, ale kolor nie specjalnie mi się udał. Było to coś pomiędzy morskim fioletem ze smugami seledynu w kilku miejscach, bo w pośpiechu farb nie wymieszałem należycie. Przez następnych kilka dni profesorowie zatrzymywali się w drzwiach, aby się upewnić, że rzeczywiście wchodzi do naszej klasy. Niemniej jednak, za inicjatywę odświeżenia klasy usłyszałem kilka słów uznania z zastrzeżeniem, aby w przyszłości tego rodzaju przedsięwzięcia uzgodnić z administracją szkoły, która w czasie wakacji odmalowała całe pomieszczenie.

Moje poza szkolne zainteresowania były ograniczone do kopania piłki. W sąsiednim bloku na mojej ulicy mieszkał Władysław Kawula, legendarny stoper „żelaznej obrony” krakowskiej Wisły. W drodze do domu często zatrzymywał się, aby nam pokibicować i czasami nawet dołączał do nas na parę meczów. Chyba za jego podpowiedzią, zapisaliśmy się na turniej drużyn podwórkowych, w którym uczestniczył także Andrzej W. inny kolega z naszej klasy. Na koniec turnieju, obaj znaleźliśmy się w notatniku selekcjonera. Jego talent rozwijał się systematycznie. Mój systematycznie wykazywał niedostatek. Wprawdzie z powodu zimowych treningów, na wyjazdowy „bal” sylwestrowy naszej paczki dotarłem w ostatniej chwili, niemal tuż przed północą, kiedy zabawa była już rozkręcona na dobre i jakaś para tańczyła, chyba kankana, na piecu, ogólnie rzecz biorąc, moje uczestnictwo w poza szkolnych imprezach naszej klasy nie cierpiało z powodu moich piłkarskich ambicji.

Nauka była sprawą trzeciorzędną, ale od czasu kiedy Profesor Luba wyjaśnił, że do wyliczenia pierwszej prędkości kosmicznej nie potrzeba astronoma, bo wystarczy znać dwa proste równania i pamiętać, że siła ciężkości musi być zrównoważona przez siłę odśrodkową, moim ulubionym przedmiotem stała się fizyka. Po tamtej lekcji, prawa fizyki zacząłem dostrzegać na każdym kroku. Z matematyką radziłem sobie nieźle, chociaż na samym początku z geometrią trochę kulałem, ale rok później z trygonometrią nie miałem już najmniejszych problemów. Natomiast język polski to złożony temat. Przedmiot uznawałem za przydatny. Obcojęzyczne chwasty językowe drażnią mnie do dzisiaj, chyba że ich użycie jest konieczne, ale poza *Panem Tadeuszem* lektur obowiązkowych nie lubiłem. Cierpiałem, zmuszając się do czytania *Dziadów*, bo z góry wiedziałem, że wypracowanie muszę napisać politycznie poprawnie, czyli tak jak zaleciło ministerstwo, chociaż mnie odpowiadała interpretacja, jaką parę lat później, już w czasie studiów, zaprezentował w 1968 roku Gustaw Holoubek. Reszty uczyłem się jedynie, aby przebrnąć do następnej klasy... i raz się przeliczyłem. Z historii miałem poprawkę. Wyszło mi to na dobre. Zacząłem się trochę więcej przykładać do wszystkich przedmiotów, aby mieć jakiś margines bezpieczeństwa na błędy moich precyzyjnych wyrachowań, kiedy będę wywołany do odpowiedzi, bo na ocenach, wliczając fizykę, nie zależało mi zupełnie. Do nauki motywowały mnie jedynie obawy pozostania na drugi rok w tej samej klasie i w konsekwencji rozstania nie tylko z Elżbietą M., ale także z całą resztą zgranego towarzystwa naszej super klasy.

Tak jak wszyscy, w połowie maturalnego roku miałem już jakieś sprecyzowane plany i myślałem poważniej, ale tylko trochę. Czerwone Gitary były ważniejsze od przyziemnych szkolnych obowiązków. Ich piosenki było słyszeć wszędzie, a Radoń, zameldował, że ma wolną chatę na Azorach, gdzie państwo Radoniowie dopiero co się przeprowadzili z osiedla Rydla. Pożyczyłem od siostry gramofon *Bambino* i ruszyłem w bal, który przeszedł do historii, jako ten, na którym Jędrus „łowił rybki w wannie”, ale na czym to dokładnie polegało, nie jestem pewien, bo na własne oczy nie widziałem. Podobnie nie jestem pewien czy Jurek Radoń i Basia Braś byli już w sobie zakochani, ale pamiętam, że zabawa była udana, lecz koniec żałosny. Ktoś, dosłownie pół kroku przede mną, wychodząc z pokoju, przypadkowo i chyba nawet nic o tym nie wiedząc, zawadził papierosem o ścianę, i w ciemności pokoju, dokładnie w momencie, kiedy ja przekraczałem drzwi, rozbłysnął obłok iskierek. Z zarzutu zrobienia smugi na świeżo pomalowanej ścianie, nigdy nie oczyściłem mojego imienia, chociaż poprzednio zawsze wierzono mi na słowo honoru. Tym razem zupełnie niewinny, konsekwencje płaciłem razem z Jurkiem, który w poniedziałek przyszedł do szkoły z pozacinanymi odciskami na każdym palcu obu dłoni, po cyklowaniu żyłkami parkietu z czarnych smug pozostawionych na podłodze, bo nikomu z nas nie wpadło do głowy, aby przynajmniej do twista ściągnąć obuwie, ale to był dopiero początek. Po lekcjach w szkole pojawiła się mama Jurka, aby mnie sucho poinformować, że *Bambino* jest zarekwirowane

i będzie zwrócone dopiero po rozmowie z moimi rodzicami. Mijały tygodnie. Zaczynało mi już brakować wymówek, dlaczego gramofon mojej siostry jest nadal u Radonia. Szykowałem się, aby całą prawdę wyjawić i doprowadzić do spotkania na rodzicielskim szczycie, kiedy Pani Radoń niespodziewanie zmiękała.

Gramofon powrócił do mojej siostry w samą porę, bo pomysły na zorganizowanie jakiejś imprezy rodziły się nam regularnie. Ktoś, chyba Radoń, wykombinował, że po studniówce nasza klasa przyjdzie do szkoły, stoły i krzesła z sali gimnastycznej na swoje miejsca poprzemieni i salę gimnastyczną posprząta, aby w poniedziałek bez straty czasu zabrać się znowu do nauki. Ta szlachetna postawa znalazła nawet uznanie nauczycielskiego grona, które nie wiedziało, że sprząkanie, to był jedynie pretekst, aby zrobić poprawiny bez nadzoru grona i studniówkę, choćby symbolicznie, zakropić. Pomysł zyskał poparcie płci obojga i w niedzielę wieczorem, bez straty czasu energicznie zabraliśmy się do roboty. Godzinę później sala gimnastyczna była posprzątana. *Bambino* zagrało, zaczęły się tworzyć pary, po chwili światło zgasło, ale zanim pocałunki nabrały namiętności, błysło światło. W drzwiach stała Pani Profesor oddelegowana bez naszej wiedzy do nadzorowania naszego sprząkania. Dała nam pięć minut na opuszczenie szkoły. Tym razem *Bambino* nie zostało zarekwirowane, ale płyty pakowałem w pośpiechu. <https://www.dailymotion.com/video/x1vaajp>

Bill Gates trafnie zauważył: „Życie nie jest sprawiedliwe. Trzeba się do tego przyzwyczaić”. (*Life is not fair. Get use to it.*). Barbara Braś i Jerzy Radoń przekonali się o tym zaraz na wstępie wspólnego pożycia. Oboje byli ułożonymi i dobrymi uczniami, a jednak w pierwszym podejściu Basia oblała maturę — za jeden głupi błąd ortograficzny. Reguły były brutalne! Niewątpliwie przyczyniło się to do tego, że dwa miesiące później Jurek, uczeń znacznie lepszy niż ja, nie dostał się na architekturę, chociaż sam przygotowując się do podobnych egzaminów, starałem się mu pomóc z fizyką. Dopiero wtedy, Pani Radoń ostatecznie odpuściła mi grzech, którego nie popełniłem, ale po egzaminach na Politechnikę, w Polskę autostopem nie wyruszyłem, jak w poprzednim roku z Radoniem, moim najbliższym licealnym przyjacielem, ale z Andrzejem W., kolegą nie tyle z liceum, ile z zielonej murawy, który przed zgrupowaniem w Sierpniu miał trzy tygodnie wolne od treningu. Zbyszek Krawczyk, *Eusebio* drużyny juniorów, trenował już z pierwszą drużyną seniorów. Nową gwiazdą odmłodzonych juniorów był Antek Szymanowski. Mnie na to zgrupowanie już nie powołano i wkrótce treningów piłkarskich zaniechałem.

Jurka i Barbarę Radoniów spotkałem przypadkiem na ulicy. Jak za czasów licealnych poszliśmy do tej kawiarenki w sąsiedztwie Parku Krakowskiego, gdzie dzisiaj, jeżeli dobrze *wygooglowałem*, jest cukiernia. Potem spotkaliśmy się tylko raz na umówioną kolację.

Po wstępnych rozczarowaniu i kulawym starcie, bo w matematyce wyższej nie widziałem zbyt wiele praktycznych korzyści, a fizyka atomu interesowała mnie tyle, co w liceum biologia, od kiedy na Politechnice zaczęły się rzeczowe przedmioty zawodowe, szło mi jak po maśle. Chociaż nadal balowałem nieźle, końcówka studiów była dla mnie łatwiejsza od matury, bo coraz bardziej fachowe książki czytałem jak interesujące powieści nieobowiązkowe i tak zostało do końca mojej kariery zawodowej. Gdybym miał jeszcze raz wybierać, nie wybrałbym innego zawodu. Z perspektywy czterdziestu lat pracy na drugim krańcu świata, muszę przyznać, że w PRL-u edukacja była na bardzo dobrym poziomie. Moich kanadyjskich i amerykańskich kolegów po fachu dogoniłem szybciej, niż oczekiwałem i w gruncie rzeczy wymagało to jedynie wytrwałości w dążeniu do celu, bo jak zazwyczaj wybrałem wolniejszą, drogę, aby dla jednego celu nie przegapić innych przyjemności życia.

Byłem już zadomowiony na dobre w Kanadzie, a Jurek i Barbara w Australii, kiedy któryś z naszych wspólnych znajomych zaczepił w tramwaju mojego brata, myśląc, że to ja, i w wyniku tej pomyłki odrodziły się stare kontakty. Do planowanego spotkania w Krakowie lub ich odwiedzin w Kanadzie nie doszło, chociaż obiecywałem, że ich zabiorę na dobrego hokeja, którym Jurek nadal się pasjonował jak za czasów licealnych i po drugiej stronie świata wiedział o tym więcej, niż ja mieszkając w Kanadzie.



To nie była szkolna miłość. To była miłość na całe życie; na dobre, na złe i na najgorsze.

Po latach kontaktów na bieżąco Jurek poinformował jedynie, że *Basiula* ma problemy ze zdrowiem, i kontakt się urwał, a kiedy nawet na telefony przestał odpowiadać, domyślałem się oczywiście, że to są bardzo poważne problemy.

Basia przestała cierpieć pod koniec 2020 roku. Jurek zmarł kilka miesięcy po niej na początku 2021.

W myślach powracam do nich bardzo często. Pozostawili mi moc przyjemnych wspomnień.

Spoczywajcie w spokoju.

Więcej już nikt nie będzie Was pouczał, jak to powinno być.